

Bajarka opowiada

O DOBRYM PRZEWOŹNIKU I O DWÓCH SIOSTRACH RUSALKACH

Był sobie stary przewoźnik, który miał trzech dorodnych synów. Żona właśnie mu zmarła, nie szczęściło mu się przez całe życie. Często nie miał nawet kawałka chleba, bo jego rola był to piasek lotny, łąka — bagno bezdenne, a prom miał stary, spróchniały, tak że nikt wozić się nim nie chciał.

Żył biedny staruszek, żył — aż zaniemógł i zebrało mu się na śmierć.

Właśnie kiedy umierał, zerwała się straszna burza, błyskało i grzmiało raz po raz, wreszcie deszcz lunął jak z wiadra. Rzeka wezbrała i woda uniosła prom.

Ojciec umarł. Synowie płakali, płakali — ani za co pogrzebu sprawić, ani żyć z czego. A zapracować też nie ma na czym bez promu.

Przechodził tamtędy starzec z długą białą brodą.

— Czego płaczecie, biedacy? — zapytał.

Opowiedzieli mu o śmierci ojca i o wszystkim, co się przydarzyło. Staruszek zaczął ich pocieszać:

— Ojciec wasz ciężkie miał życie i z woli Bożej teraz ma odpoczynek. Nie ma tego złego, co by się nie obróciło na dobre. Ale spójrzcie na rzekę, toż prom jest u brzegu!

Trzej bracia pobiegli, patrzą: stoi prom nowiutki i mnóstwo ludzi czeka na przewóz.

Obejrzeni się za staruszkiem — nie było go nigdzie.

Synowie pochowali ojca uczciwie. Zabrali się do pracy i powoli rozgospodarowali się dostatnio.

Dwaj starsi tacy już byli, że brakło im serca dla ludzi. Prędko zapomnieli o własnej biedzie, więc i cudzej nie rozumieli. Darmo nikogo nie przewieźli, choćby to był żebrak albo kaleka, co na nogach ledwo mógł ustać. Nawet jeżeli ze łzami prosił, odpędzili takiego, co nie miał czym zapłacić i jeszcze połajali go złym słowem.

Najmłodszy całkiem się od nich odrodził. Co mu kto dał za przewóz, to on wziął bez targu, a jak tamten powiedział, że nie ma czym płacić, to go przewiózł darmo.

Z początku bracia dzielili się zarobkiem równo: mnie część, tobie część i jemu część. Ale już po kilku dniach najstarszy mówi do najmłodszego:

— Tak dalej być nie może. Jakesz głupi i chce ci się wozić za darmo — twoja wola. Ale odtąd będziesz miał to, co sam zarobisz, a my weźmiemy swoje.

Tak więc wyszło, że po jakimś czasie starsi się wzbogacili, a najmłodszy nie. Ale chleba mu nie brakło. I pracowało mu się wesoło.

Raz o zachodzie słońca, kiedy najstarszy brat był na promie, przyszedł ten sam staruszek co dawniej i poprosił:

— Przewieź mnie, dobry człowieku.

— Masz czym zapłacić?

— Nie mam, przewieź mnie za „Bóg zapłać”.

— To nie syci ani nie grzeje. Nie przewiozę za „Bóg zapłać”.

— To weź moją pustą starą kieskę, nic innego nie mam.

— Idź najpierw na żebry, a jak zbierzesz co do tej kieski, wtedy cię przewiozę, inaczej nie. Tymczasem fora ze dwóra!

Postał starzec przy promie — i poszedł.

Na drugi dzień wrócił znowu. Tego dnia średni brat był na promie, ale i on starca odepchnął.

Na trzeci dzień najmłodszy brat woził ludzi promem. Przewiół staruszką na tamten brzeg i o zapłatę wcale nie pytał, jeszcze mu podziękował za dobre słowa po śmierci ojca i życzył szczęśliwej drogi.

Staruszek podziękował za przewóz i mówi:

— Nie mam ci czym zapłacić, ale weź moją kieskę. Chociaż jest stara i pusta i wygląda na to, że nic nie jest warta, przyda ci się. Potrząśnij nią tylko i powiedz:

Ile szyszek jest na sośnie,

Ile jagód w lesie rośnie,

Ile brzęczy pszczół na lipie,

Tyle złota niech się sypie.

Tak rozkazał, kto mi cię dał.

Spamiętasz?

— Spamiętam.

Wziął najmłodszy brat kieskę i poszedł do domu.

— Dużoś zarobił? — spytał średni brat.

— Trzy grosze i tę kieskę.

Bracia zaczęli się śmiać.

— Ha, ha, ha! Przewiół tego starucha, co się wciąż napraszał darmo na prom! Przecież tamten nas także częstował swoją starą, pustą kieską. Wreszcie trafił na głupiego, co ją wziął.

Najmłodszy brat nic nie odpowiedział, tylko potrząsnął kieską i zawołał:

— Ile szyszek jest na sośnie,
Ile jagód w lesie rośnie,
Ile brzęczy pszczół na lipie,
Tyle złota niech się sypie!
Tak rozkazał, kto mi cię dał.

I patrzcie: złoto sypnęło się jak grad, cały stół zasypało. Starsi bracia rzucili się chciwie i nuż garnąc je każdy do siebie.

Radość była w całej wiosce, ba! i w innych wioskach dookoła. Bo dobry przewoźnik każdego obdarował, o kim wiedział, że jest w potrzebie.

Ale chciwemu się zda, że ręce wciąż ma puste, choćby nie wiedzieć ile wziął. Tak i dwaj starsi bracia. Najmłodszy złota im nie żałował, ale oni wciąż zazdrościli mu kieski złotosypki.

Zazdrościli, zazdrościli, wreszcie wzięli się na sposób. Jeden kupił wianek kiełbasy, drugi kupił flaszkę wódki i dalejże brata częstować:

— Pojedz se, chudzino! Napij się na rozgrzewkę!

Najmłodszy brat nigdy nie pijał gorzałki, bo mu się zaraz przypominało, jak ojciec nieboszczyk mawiał: „od wódki rozum krótki”. Ale tym razem deszcz z wichrem zacinał, on przeziął na promie, więc pomyślał:

— A no, spróbuję raz. Jeden kieliszek to tyle co nic.

Wypił jeden, a brat starszy mówi:

— Człowiek chodzi na dwóch nogach, nie na jednej.

Wypił drugi, a brat średni mówi:

— Koniczyna ma trzy listki, a nie dwa.

Tak od kieliszka do kieliszka, spać mu się zachciało okrutnie. Oparł głowę o stół i zachrapał.

Bracia tylko na to czekali. Ukradli mu kieskę złotosypkę i w nogi! Jeszcze z chaty wynieśli wszystko co lepsze.

Ale jaki nabytek, taki użytek. Najstarszy kupił sobie okręt, naładował do niego pełno towarów i pojechał sprzedać je za morze. Okręt rozbił się o skały i zatonął, a razem z okrętem utonął najstarszy brat ze swoimi towarami.

Drugi kupił dwanaście bryk czterokonnych i także naładował na nie pełno dobytku, osie ledwo go dźwigały, a konie ledwo ciągnęły. Jechali lasem, w lesie napadli zbójcy, wszystko zrabowali i drugiego brata zabili.

Tymczasem najmłodszy ocknął się, patrzy: ani braci, ani kieski, ani nawet kawałka chleba nie ma w chacie — nic!

Został mu tylko prom. Pracował więc na promie. Kto mógł, ten mu płacił, kto nie mógł, tego wioził darmo i tak mu się żyło.

Tylko wciąż teraz sam sobie powtarzał: "od wódki rozum krótki, dobrze mi tak!"

Któregoś wieczora przyszedł znajomy starzec i o zachodzie słońca stanął obok promy. Przewoźnik ucieszył się, przywitał go i opowiedział, jak i co się stało. A starzec na to:

— Sameś sobie winien! Ale ponieważ widzisz, żeś źle zrobił, więc pomogę ci jeszcze raz. Weź tę wędkę, przyda ci się. Co nią złowisz, to dobrze trzymaj, bo jak ci się wymknie, będziesz gorzko żałował.

Starzec zniknął, została tylko wędka. Miała wędzisko bursztynowe, srebrny włosień i złoty pływec. A diamentowy haczyk świecił jak gwiazda.

Zanim przewoźnik zdążył zarzucić wędkę, haczyk sam skoczył do wody, włosień rozciągnął się z prądem, pływec się zagłębił, a przewoźnika szarpnęło coś za rękę.

Poczuł w wodzie szamotanie, więc ciągnie, ciągnie, aż zgina się bursztynowe wędzisko, ale nie pęka. Ciągnie jeszcze — i wyciągnął pół panny, pół ryby, liczko ma piękne jak księżyc, a oczka jak gwiazdy.

— Dobry przewoźniku — prosi półpanna słodkim głosem — wypłac wędkę z mojego warkocza! Słońce już zachodzi, a ja bez promieni słońca nie mogę być rusałką.

Młody przewoźnik wyciągnął ją na prom, ale haczyka nie wypłątuję. Choć się dziewczyna wyrywa, otula ją swoją sukmaną i trzyma mocno.

Tymczasem ostatni promień słońca zagasł na wodzie. Rusałka jęknęła i — dziw nad dziwy! — stoi na promie śliczna panienka ubrana jak do ślubu. Sukienkę ma białą, mirtowy wianuszek we włosach i perły w warkocz wplecione. W ręku trzyma starą kieszkę złotosypkę, tę samą, którą bracia skradli przewoźnikowi.

— Rusałką być nie mogę, weź mnie za żonę — mówi panienka i rumieni się jak zorza.

Poszli do kościółka na sąsiednim wzgórzu, a tam u ołtarza czekał już na nich ksiądz, organista zaraz na organach im zagrał i w mig było po ślubie.

Idą z kościoła do domku przewoźnika, aż tu patrzą — drogą wędrują sznureczkiem goście, a goście!

Przewoźnik z żoną uczęstowali ich, czym tam mogli, a kiedy goście mieli się rozejść, panna młoda potrząsnęła kieszką i wszystkich złotem obdarowała.

Odtąd przewoźnik woził darmo każdego, a biedacy dostawali od niego jeszcze po dukacie. Miał on pracy dość, miał!

Kiedy król dowiedział się o przewoźniku, co ma pełne kieszenie złotych dukatów, a jednak rąk nie żałuje i wozi ludzi na promie, pomyślał sobie:

„To rzecz niesłychana. Ilu mam w kraju bogatych wielmożów i panów, żaden by się tak nie trudził dla innych ludzi ani nie rozdawałby im darmo swego złota. Muszę na własne oczy obejrzeć to dziwo”.

Kazał założyć do złoczonej poszóstnej karety i wieźć się do promu.

A tam właśnie żona przewoźnika podlewała swój ogródek przy chacie. Zobaczył ją król i serce mu zabiło, rozmyślał się od razu w pięknej żonie przewoźnika. Zawołał na nią z okna karety, ale ona rzuciła polewaczkę i jak gołąbka do gołębnika, tak furknęła do chaty.

W tej samej chwili wiatr powiał po całej krainie, a z krańców świata przyleciał cień jak czarny słupek od ziemi aż do nieba. Słońce się zaćmiło i gasło, gasło powoli — aż zgasło. Na czarnym niebie zapaliły się gwiazdy.

Umilkły ptaki strwożone, psy zawyły we wsi, a konie królewskie spłoszyły się i byłyby utopiły w rzece złocistą karetkę *razem* z królem, gdyby nie przewoźnik. Skoczył śmiało przed konie, chwycił pierwszą parę przy pyskach i zatrzymał — taki to był osiłek!

Ciemności długą chwilę panowały na świecie, aż wreszcie słońce zapaliło się znowu.

Król przestał się bać i przypomniał sobie piękną żonę przewoźnika. „Jak to zrobić, żeby się tego przewoźnika pozbyć?” pomyślał. „Gdyby ona owdowiała, to bym się z nią ożenił. Ubrałbym ją w jedwabne szaty, naczepiałbym na niej klejnotów i nikt by nie poznał, że nie jest z królewskiego rodu”.

Zawołał przewoźnika i mówi tak:

— Kiedyś taki obrotny i śmiały, idź na koniec świata i dowiedz się, dlaczego słońce się zaćmiło. Jak się nie dowiesz, to lepiej nie wracaj, bo cię każę ściąć.

Król krzyknął na furmana, furman trzasnął z bąta długiego na dwanaście łokci i kareta potoczyła się w stronę zamku.

Zafrasowany przewoźnik usiadł w chacie zamyślony.

— O czym myślisz i czego się smucisz? — zapytała go żona.

— Jak nie mam się smuć, kiedy mi król kazał się dowiedzieć, dlaczego słońce się zaćmiło, a jak mu nie powiem, to mi głowę utną.

Żona skoczyła do komory, wyjęła z malowanej skrzyni kłębu-szek nici i podała go mężowi.

— Nie smuć się, mężu. To jest kłębek wskazidrożek, on cię doprowadzi.

Poradziła mu, jak ma zrobić, pożegnali się i przewoźnik poszedł.

Idzie, idzie przez góry wysokie, przez rzeki głębokie, a kłębek wskazidrożek wciąż toczy się przed nim na wschód słońca.

Wreszcie przewoźnik doszedł do zburzonego miasta, gdzie mnóstwo ludzi pozabijanych leżało na ulicach bez pogrzebu. Nie żałował czasu i trudu, zawołał ludzi z sąsiednich miast i razem pogrzebali wszystkich zabitych.

Dopiero wtedy poszedł dalej za kłębkim wskazidrożkiem.

Prędko stara baśń się baje, nie tak prędko rzecz się staje. Ile czasu przewoźnik szedł, tego nie wiem, ale wiem, że doszedł wreszcie aż na to miejsce, gdzie na wschodnim krańcu świata obłoki łączą się z ziemią i w tych obłokach stoi pałac cały ze złota, z bursztynowym dachem i z brylantowymi oknami.

Kłębek skok! skok! skok! wskoczył po schodach na ganek, z ganku wtoczył się do sieni, a z sieni do ogromnej komnaty. W tej komnacie siedziała stara kobieta i przędła złotą kądziel.

— Oj, człowieku, człowieku — powiedziała — po coś tu przyszedł? Mój syn, jasne Słońce, zaraz tu przyjdzie i spali cię.

— Nie mogłem inaczej.— i przewoźnik jej opowiedział, jak go król wysłał i jak on zatrzymał się po drodze, żeby pogrzebać zabitych w zburzonym mieście.

— Kiedy tak, to ci dopomogę — powiedziana staruszka. — To było miasto mojego syna. Smok wypełził z podziemnej jaskini, domy poburzył, a mieszkańców pozabijał. Oddałeś usługę mojemu synowi, więc cię uratuję.

Dotknęła wrzecionem czoła przewoźnika i ten od razu skurczył się i zamienił w bożą krówkę. Staruszka wzięła ją w palce ostrożnie i spuściła za okno.

Wtem dwanaście koni złotogrzywych zarżało na dworze, jak grzmot zaturkotała diamentowa dwukółka i zatoczyła się przed pałac. Wskoczyło z niej Słońce promieniste i weszło. Pozdrowiło matkę, a ona podała mu wieczerzę. Słońce podjadło sobie, położyło się na koralowym łożu i mówi:

— Czuję tu człowieka.

— Co gadasz, synu? — powiedziała matka. — Był tu jeden, ale już go nie ma. Lepiej powiedz mi, zanim zaśniesz, dlaczego to kiedyś przestałeś świecić i noc zeszła na ziemię pośrodku dnia.

— Jakże miałem świecić, kiedy w ciemnościach podziemnych wylał się smok o dwunastu głowach i chciał mnie pożreć. Musiałem zgasnąć i walczyć ze smokiem. Byłbym walczył jeszcze dłużej, gdyby nie to, że rusałka mi pomogła. Spojrzała na smoka urocznymi oczami, smok zapatrzył się na nią, a ja wtedy spaliłem go na węgiel i cisnąłem do morza.

Słońce usnęło. Wtedy staruszka wychyliła się za okno, dotknęła wrzecionem bożej krówki i z powrotem zamieniła ją w człowieka.

Przewoźnik wymknął się cicho z pałacu, kłębek wskazidrożek potoczył się na zachód, a on poszedł za nim i wrócił do żony.

Kiedy król usłyszał o pięknej rusałce z urocznymi oczami przestał myśleć o żonie przewoźnika i powiedział do niego:

— Przywiozłeś mi wiadomość, *dlaczego* słońce się zaćmiło, teraz przywieź mi rusałkę cud-dziewicę. Nie wracaj bez niej, bo cię każę ściąć.

Przewoźnik poszedł do domu i opowiedział wszystko żonie. Żona wyjęła znowu ze skrzyni kłębek wskazidrożek. Dała mężowi na drogę pełen wóz najpiękniejszych strojów kobiecych, jakie są na świecie. Tylko rusałki umieją wytknąć i uszyć takie szaty z promieni słońca, księżyca i gwiazd, tylko rusałki mają takie klejnoty z kropelek rosy i deszczu, kiedy tęcza się w nich przegląda.

Poradziła mężowi, co ma robić, i pożegnali się.

Wyjeżdża przewoźnik za bramę, rzuca kłębek wskazidrożek i kędy się kłębek toczy, tam on za nim jedzie.

Jedzie przez góry wysokie, przez rzeki głębokie, przez doliny szerokie. Jakoś w tydzień czy we dwa napotyka młodzieńca, który pędzi na siwym koniu. Mijając przewoźnika młodzieniec pyta:

— Co wiesz, człowiecze?

— Stroje kobiece.

— Daj mi coś na podarek dla mojej narzeczonej, jadę właśnie na zaręczyny. Odwdzięczę ci się. Jakbyś mnie potrzebował, zawołaj tylko:

Wichrze, co nad ziemią dniem i nocą latasz,

Przyleć mi na pomoc choćby z końca świata!

Przewoźnik podarował jeźdźcowi dla narzeczonej piękną srebrną szatę. Wicher ją pochwycił i popędził dalej.

Zaledwie przewoźnik ujechał kilka mil, spotyka siwego, ale krzepkiego człowieka. Ten go powitał i pyta:

— Co wiesz, człowiecze?

— Stroje kobiece.

— Daj mi coś na podarek dla córki, bo wydaję ją za mąż za Wichra, dziarskiego jeźdźca. Odwdzięczę ci się. Jakbyś mnie potrzebował, zawołaj tylko:

Mrozie, co panujesz nad połową świata,

Przybądź mi na pomoc choćby w środku lata!

Przewoźnik dał Mrozowi srebrne cizemki dla córki i jedwabny welon ślubny srebrem tkany, a iskrzący się, jakby

go kto posypał płateczkami śniegu. Pożegnali się i jeden poszedł w tę stronę, a drugi w tamtą pojechał.

Prędko stara baśń się baje, nie tak prędko rzecz się staje. Przewoźnik długo jechał za kłębkim wskazidrożkiem, zanim stanął nad brzegiem morza. Tam kłębek się zatrzymał.

Wszedł przewoźnik po pas do wody, powbijał wysokie tyczki, poprzywiązywał do nich długie żerdzie. Na tych żerdziach jak na sznurach porozwieszał przed świtem różnobarwne szatki kobiece, stroje i stroiki, szale i wstęgi złote, łańcuszki, brylantowe spinki i zausznicę, trzęsidelka i świecidełka drogimi kamieniami nabijane. Iskrzyło się to wszystko z daleka.

Sam zaczął się w zaroślach na brzegu z wędką samolówką. Morze pojaśniało, niebo zarumieniło się na wschodzie. Ogniste Słońce wyjrzało z wody i rzuciło na nią jakby rzekę złotych promieni. Przewoźnik zobaczył, że płynie po niej srebrne czółenko. W czółenku stała rusałka piękna jak sen i złotym wiosłem wiosłowała w stronę brzegu. Witaa Słońce takim urocznym śpiewem, że przewoźnik co prędzej zatkał uszy.

Bał się, że ten śpiew ześle na niego marzenie i sen, a przez ten czas rusałka mu ucieknie.

Ona z początku bała się podpłynąć do żerdzi i rozwieszonych strojów. Jeździła tu i tam w swoim srebrnym czółenku, a dokoła niej płażały złote rybki z tęczowymi skrzekami i brylantowymi oczkami.

Wreszcie odważyła się i podpłynęła do bawidełek. Już, już wyciągała po nie rękę, gdy przewoźnik zawołał:

— Wicherze, co nad ziemią dniem i nocą latasz,
Przyleć mi na pomoc choćby z końca świata!

Zaszumiało, zaświstało — siwy koń zarył kopyta w ziemię; na morskim brzegu, a Wicher pyta:

— Co każesz?

Ale przewoźnik już woła:

— Mrozie, co panujesz nad połową świata,
Przybądź mi na pomoc choćby w środku lata!

Przewoźnika owionął ziąb. Stanął przed nim Mróz i pyta:

— Co każesz?

— Schwytajcie mi rusałkę! — zawołał przewoźnik.

Wicher dmuchnął — wyrzucił czółenko. Mróz tchnął — ścisnął lodem. Wędka samolówką zarzuciła się sama i zahaczyła złoty warkocz. Przewoźnik wyciągnął rusałkę.

Związał ją srebrnym włosieniem, wziął na wóz i pojechali za kłębkim wskazidrożkiem. Rusałka płakała po drodze, a była taka piękna, że ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało o podobnej urodzie.

Kiedy przyjechali do domu przewoźnika i rusałka zobaczyła jego żonę, zaraz przestała płakać i rzuciły się sobie w objęcia. Bo to były siostry rodzone.

Nazajutrz przewoźnik i jego żona zaprowadzili rusałkę do •króla. Król tak się nią zachwycił, że zerwał się z tronu i zawołał:

— Bądź moją żoną i królową!

— O panie — odpowiedziała rusałka — muszę mieć najpierw gęśle samograje.

Król odesłał obie siostry do domu, a kiedy został sam na sam z przewoźnikiem, rozkazał srogo:

— Ruszaj natychmiast w świat po gęśle samograje! Nie wracaj bez nich, bo skrócę cię o głowę.

Przewoźnik poszedł do domu strapiony, ale żona go pocieszyła i dała mu na drogę swoją chustkę złotem wyszywaną. On zasunął chustkę w zanadrze, rzucił za wrotami kłębek wskazidrożek i poszedł za nim.

Idzie, a idzie przez kraje niezmierzone. Mijają dni za dniami, miesiące za miesiącami, kłębek wciąż się toczy.

Przytoczył się wreszcie nad ogromne jezioro. Pośrodku jeziora zieleniła się piękna wyspa. Przewoźnik zapatrzył się na nią, naraz spostrzegł, że jakaś łódka się *zbliża*. Przybiła do brzegu i wysiadł z niej staruszek z białą brodą, ten sam, co to kiedyś podarował przewoźnikowi kieszkę złotosypkę i wędkę samołówkę. Uradowany przewoźnik powitał go, a tamten zapytał:

— Jak się masz, dobry przewoźniku, dokąd to cię droga prowadzi ?

— Idę za kłębkim wskazidrożkiem po gęśle samograje, ale nie wiem, gdzie ich szukać.

— Gęśle samograje są tam, na wyspie Złotomora — powiada starzec. — Ale nie wiem, jak sobie poradzisz ze Złotomorem, trudna z nim będzie sprawa. Przewoziłeś mnie nieraz, ja przewiozę cię teraz. Siadaj do łódki!

Popłynęli do wyspy. Kiedy łódź przybiła do brzegu, przewoźnik wysiadł na ląd, a starzec obiecał, że na niego poczeka.

Przewoźnik rzucił kłębek wskazidrożek i poszedł za nim zieloną wyspą aż do pałacu pośród drzew. Zastukał śmiało złotą kołatką do złotych wrót. Wrota cicho się otworzyły i rozległ się z głębi straszliwy głos Złotomora:

— Dokąd idziesz i po co?

— Idę do ciebie po gęśle samograje.

— Dam ci je tylko wtedy, jeżeli będziesz moim gościem przez trzy dni i trzy noce i ani na chwilę nie zaśniesz. Jeżeli zaśniesz, nie wyjdiesz stąd żywy.

Złotomór zaprowadził przewoźnika do olbrzymiej komnaty w wieży i zamknął go w niej na dziewięć rygli.

Rozejrzał się przewoźnik: w komnacie pusto, tylko pośrodku stoi donica szczerozłota, a w tej donicy rośnie sen-trawa, bujna, zielona, pachnie jak tysiące ogrodów.

Zaledwie minęła chwila, przewoźnika zdjął sen nieprzemierzony. Runął na ziemię jak martwy.

Na drugi dzień rano zgrzytnęły rygle i wszedł Złotomór. Wystawił za okno donicę z sen-trawą, obudził przewoźnika i mówi:

— Zasnąłeś, więc gotuj się na śmierć!

Przewoźnik skoczył na równe nogi. Chciał walczyć, ale Złotomór tupnął w podłogę, podłoga się otworzyła i przewoźnik spadł do dolnej komnaty. Słońce zaglądało tam przez okna kryształowe, a w jego promieniach iskrzyły się stosy drogocennych kamieni i jak tęcze odbijały się w zwierciadlanych ścianach komnaty. Cudny to był widok — ale nie dla głodnego.

Minęły trzy dni. Okna były opatrzone gęstą kratą. Przewoźnik słyszał śpiew słowików i kukanie kukulek pośród drzew dookoła wieży, słyszał nawet gruchanie swojskich gołębi. Ale daremnie wołał o ratunek — nie przychodził nikt.

Nie wiedział, że w suficie jest otwór, a przez ten otwór śledzi go oko Złotomora.

Cierpiał mękę głodową, a najwięcej cierpiał słysząc gdzieś w pobliżu szmer strumyka, podczas kiedy jemu tak chciało się pić, że wargi mu popękały i język przysechł do podniebienia.

Ach, jakże chętnie oddałby wszystkie te skarby, które go otaczały, za kubek wody i kawałek chleba!

W tej męce sięgnął ręką po swój krzyżyk żelazny; dostał go od matki, kiedy był dzieckiem, i zawsze odtąd nosił go na szyi. Niechcący wyrzucił przy tym z zanadru chustkę złotem haftowaną, którą żona dała mu na drogę.

Zaledwie chustka upadła na ziemię, usłyszał okrzyk nad sobą, a po chwili drzwi się otworzyły i wpadł Złotomór z wyciągniętymi ramionami.

— Tę chustkę dostałeś od mojej siostry! Jesteś mężem mojej siostry rusałki!

Zaprowadził przewoźnika do swoich pokojów, nakarmił, napił i podarował gęśle samograje.

— Bierz, kochany szwagrze! Wielu tu już bywało, co mnie chcieli obrabować. Myślałem, że i ty jesteś taki.

Przewoźnik pożegnał Złotomora, a starzec przeprowadził go swoją łódką z wyspy na brzeg jeziora.

Kiedy król zobaczył gęśle samograje, kazał natychmiast sprowadzić rusałkę cud-dziewicę i jej starszą siostrę. Rusałka poprosiła:

— Królu, każ zwołać na podwórzec zamkowy wszystkich biednych, smutnych, szpetnych i kaleki, każ przynieść chorych, a także tych, co zmarli, ale jeszcze nie pogrzebano ich w świętej ziemi!

Król nie chciał jej się sprzeciwiać i wydał taki rozkaz.

Kiedy podwórzec się zapełnił, rusałka wyszła z gęsłami między lud i zaśpiewała słodkim głosem:

— Grajcie, gęśle, grajcie,
Prosić się nie dajcie,
Pięknie grajcie, gęśle,
Dajcie ludziom szczęście!

Gęśle zaczęły grać... Co się dzieje? Szmer idzie przez tłum, słyhać radosne okrzyki, kulawi odrzucają szcudła, garbaci się prostują, chorzy zaczynają tańczyć, smutni śmieją się i śpiewają, a umarli siadają na marach, przecierają oczy i mówią:

— Za długo spałem.

Król patrzył na to przez okno swojej komnaty i wcale nie był z tego rad. „Nie chcę, żeby ona była moją żoną i królową tego kraju”, pomyślał, „bo by mi tu wciąż sprowadzała żebraków i kaleki”.

Król o nielitościwym sercu nie wiedział, że on sam nie *będzie* się już długo cieszyć zdrowiem. Tej samej nocy zaniemógł nagle i nad ranem umarł.

Rusałka podarowała siostrze gęśle samograje i powiedziała:

— Bądź zdrowa i szczęśliwa, siostrzo kochana, razem z twoim mężem, dobrym przewoźnikiem. Ja wracam do srebrnego czółenka, do złotego wiosła, do moich rybek tęczowych i do promieni Słońca. Słońce tęskni za mną okrutnie, a ja za nim.

Lud obrał na króla dobrego przewoźnika. Rządził on mądrze i sprawiedliwie. Królowa rusałka miała dla wszystkich współczujące serce, ratowała każdego, kto potrzebował pomocy. Za ich rządów nikt nikogo nie krzywdził, nie było wojny, ani zarazy, ani posuchy, ani powodzi, a ziemia rodziła tak obficie, że najstarsi ludzie nie pamiętali takiego urodzaju.